

THOMAS HARDY

Z DALA

OD

ZGIEŁKU

Przełożyła
Róża Czekańska-Heymanowa

NASZA KSIĘGARNIA

Tytuł oryginału angielskiego
Far from the Madding Crowd

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2015
„FAR FROM THE MADDING CROWD” art work ©2015
Twentieth Century Fox Film Corporation. All Rights Reserved

Przełożyła *Róża Czekańska-Heymanowa*

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia” informuje, że dołożyło należytej staranności w rozumieniu art. 355 par. 2 kodeksu cywilnego w celu odnalezienia aktualnych dysponentów autorskich praw majątkowych do tłumaczenia Róży Czekańskiej-Heymanowej. Z uwagi na to, że do dnia publikacji poszukiwania nie przyniosły rezultatu, Wydawnictwo „Nasza Księgarnia” zobowiązuje się do wypłacenia stosownego wynagrodzenia z tytułu wykorzystania tłumaczenia aktualnym dysponentom autorskich praw majątkowych niezwłocznie po ich zgłoszeniu się do Wydawnictwa.

ROZDZIAŁ XII

Farmerzy. Regula. Wyjątek.

Pierwszym widowym skutkiem postanowienia Betsaby, że będzie rządzić folwarkiem sama, a nie przez zastępcę, było zjawienie się jej w najbliższym dniu targowym w hali zbożowej w Casterbridge.

Niska, aczkolwiek obszerna hala, o stropach podpartych belkami i filarami, ostatnio uczczona mianem Giełdy Zbożowej, pełna była rozgorączkowanych mężczyzn rozmawiających grupkami po dwóch lub trzech, przy czym każdy, kto w danej chwili przemawiał, spoglądał z ukosa w oczy słuchacza i popierał swą argumentację zmrużeniem jednej powieki. Większość zebranych trzymała w ręku jesionowy pręt służący po części za laskę, po części za kij do poszturchiwania świń, owiec lub odwróconych do nich tyłem sąsiadów, a w ogóle do potrącania wszelkich innych spokojnych istot spotykanych na drodze i zasługujących na podobne traktowanie. Podczas rozmowy każdy manewrował owym prętem w inny sposób: to trzymał go za plecami, to obie rękami zginał w łuk, to znów opierał się na nim tak, że kij przybierał kształt niemal półkolisty; czasem pośpiesznie wsuwał go pod pachę, gdy trzeba było wyciągnąć z kieszeni woreczek z próbką zboża; wtedy wysypywał na dłoń jego zawartość, a po krytycznym obejrzeniu przez kupca rzucał ziarno na ziemię. Zakończenie owej procedury dobrze znało pół tuzina sprytnych miejskich kur, które zwykle potrafiły wśliznąć się niepostrzeżenie do hali i z wyciągniętą wysoko szyją i przekrzywioną głową czekały na spełnienie swych nadziei.

Pośród tych ociężałych ziemian przesuwała się postać kobieca, jedyna w całej hali przedstawicielka swojej płci. Ubrana była ładnie, a nawet strojnie. Poruszała się między nimi jak lekki powozik wśród wozów; gdy się odezwała, słowa jej brzmiały

jak pieśń miłosna po kazaniu, a zebrani czuli jej obecność jak powiew wietrzyka wśród rozżarzonych pieców. Zjawienie się tutaj wymagało z jej strony więcej śmiałości, niż sobie pierwotnie wyobrażała, gdyż kiedy tylko weszła, gwarne rozmowy ucichły, prawie wszystkie głowy zwróciły się ku niej, a oczy tych, co już byli zwróceny w jej stronę, nieruchomo się w nią wpatrzyły.

Betsaba знаła osobiście zaledwie dwóch czy trzech farmerów i do nich najpierw podeszła, ale że postanowiła być kobietą praktyczną, musiała pokazać, że interes przede wszystkim; wobec tego nie bacząc na to, czy ktoś jej został przedstawiony, czy nie, odzyskała po chwili dość pewności siebie, by zagadnąć nieznanym lub śmiało odpowiadać mężczyznom znanym tylko ze słyszenia. Podobnie jak inni farmerzy, i ona zabrała ze sobą woreczki z próbami zboża i nabierając stopniowo wprawy, wysypywała ziarno na wąską dłoń, proponując je kupcom ściśle według zwyczaju panującego w Casterbridge.

Gdy z rozchylonymi ustami cokolwiek wyzywająco podnosiła głowę, by omówić jakiś szczegół z którymś z tych rosłych mężczyzn, to w równym, zwartym łuku jej zębów i w śmiało zarysowanych kącikach ust było coś, co świadczyło wymownie, że w tej gibkiej ludzkiej istocie kryło się dość siły do powzięcia odważnych męskich postanowień i dość śmiałości do wprowadzenia ich w czyn. Ale oczy miała łagodne, niezmiernie łagodne, i gdyby nie były takie ciemne, wydawałyby się zamglone, a tak łagodność ta nadawała spojrzeniu wyraz nie ostry, lecz bystry.

Aczkolwiek rzadko się to zdarza, należy przyznać, że ta młoda kobieta w pełni rozkwitu i sił zawsze pozwalała swym rozmówcom dokończyć zdanie, zanim rozpoczęła swoje. Przy ustalaniu ceny nie odstępowała ani na jotę od własnej, co było naturalne u sprzedającej, natomiast ceny, jakie jej proponowano, uporczywie obniżała, co było nieuniknione u kobiety. W stanowczości

jej przebijała jednak pewna elastyczność różniąca się od uporu, a w targowaniu się z sąsiadami – pewna naiwność daleka od drobiazgowości.

Ci spośród farmerów, z którymi nie zawierała żadnych transakcji (a była ich większość), nieustannie zapytywali się wzajemnie: „Cóż to za jedna?”. Opowiedz zaś brzmiała:

– To bratanica farmera Everdene’a, objęła po stryju farmę w Weatherbury, wyrzuciła ekonoma i obiecuje, że gospodarstwo poprowadzi sama.

Słyszając to, mężczyźni kiwali głowami.

– Szkoda tylko, że jest taka uparta – mówił na to któryś z nich. – Ale powinniśmy być dumni, że się znalazła wśród nas. Rozjaśni nam trochę tę starą budę. Ale taka dorodna z niej dziewczyna, że niebawem sprzątnie nam ją ktoś sprzed nosa.

Byłoby brakiem galanterii twierdzić, że nowość sprawowania przez kobietę takiej męskiej czynności wywołała nie mniejsze wrażenie niż piękno jej twarzy i ruchów. Tak czy inaczej, zainteresowanie było powszechne, a jakkolwiek wypadł ów sobotni debiut publiczny dla Betsaby jako kupującej i sprzedającej farmerki, to jako dla kobiety okazał się jej niezaprzeczoną triumfem. Istotnie, wrażenie, jakie wywołała, było tak silne, że wiedzioną instynktem przeszła kilka razy po hali jak królowa wśród tych nieokrzesanych bogów albo jak siostrzyczka młodego Jowisza, zapominając zupełnie o ostatecznym ustaleniu cen.

Liczne dowody jej siły przyciągającej potęgował jeszcze pewien znamieny wyjątek. W tego rodzaju sprawach kobiety zdają się mieć oczy z tyłu głowy. Betsaba, prawie nie patrząc w kierunku owego wyjątku, poczuła w nim parszywą owcę wśród stada.

Początkowo się zdziwiła. Gdyby po którejkolwiek stronie okazała się jakaś pokaźna mniejszość, byłoby to całkiem natural-

ne. Gdyby nikt na nią nie patrzył, przyjęłaby to obojętnie – takie rzeczy się zdarzają. Gdyby przyglądali się jej wszyscy, łącznie z tym człowiekiem, uważałaby to za rzecz zwykłą – tak bywało zawsze. Ale ten maleńki wyjątek wydał się jej nieco tajemniczy.

Wkrótce mniej więcej już wiedziała, jak wygląda ten oporny mężczyzna. Miał pańską postawę, twarz pełną, o wyrazistych rzymskich rysach połyskujących w słońcu odcieniem brązu. Trzymał się prosto, a ruchy miał spokojne. Jego charakterystyczną cechą stanowiła godność w obejściu. Widać było, że już minął pewien czas, odkąd osiągnął wiek męski, kiedy to wygląd mężczyzny naturalnym biegiem rzeczy pozostaje przez jakiś dziesięć lat niezmieniony, a co kobiety osiągają za pomocą środków sztucznych. Wiek jego można było określić między rokiem trzydziestym piątym a pięćdziesiątym, ale mógł być dalej lub bliżej jednej z tych granic.

Można powiedzieć, że czterdziestoletni żonaci mężczyźni bywają dość pochopni do rzucania przelotnych spojrzeń na mniej lub więcej przystojne kobiety napotkane na swej drodze. Prawdopodobnie tak jak u grających w karty bez pieniędzy świadomość bezkarności czyni ich nadmiernie przedsiębiorczymi, gdyż w tych warunkach, nawet w najgorszym razie nie będą ponosili kosztów przegranej. Toteż Betsaba była przekonana, że ten nieczuły osobnik nie jest żonaty.

Po ukończeniu targów pośpieszyła do Liddy czekającej na nią przy żółtej bryczuszce, w której przyjechały do miasta. Zaprzężono konia i lekkim truchtem wyruszono w drogę. Ułożone w tyle bryczki cukier, herbata i paczki z materiałami na suknie w jakiś nieopisany sposób świadczyły kształtem, kolorem i ogólnym wyglądem, że stanowią już własność młodej pani z folwarku, a nie kupca bławatnego i kolonialnego.

– No, Liddy, jakoś mi się udało i wreszcie jest po wszystkim. Następnym razem nie będę się już tak przejmowała, bo już się

przyzwyczajają do mojej obecności, ale dziś czułam się okropnie, jak na własnym ślubie, wszyscy dokoła nie spuszczaali ze mnie oczu.

– Wiedziałam, że tak będzie – rzekła Liddy. – Mężczyźni strasznie lubią patrzeć na kobiece ciało.

– Ale był tam jeden dość rozsądny, by nie tracić czasu na wlepianie we mnie oczu. – Uwagę tę powiedziała takim tonem, że Liddy nie mogła ani na chwilę przypuszczać, iż jej pani czuła się tym urażona. – Bardzo przystojny mężczyzna – mówiła dalej – trzyma się prosto, mam wrażenie, że nie ma więcej ponad czterdziestkę. Czy przypadkiem nie wiesz, kto to taki?

Liddy nie mogła zgadnąć.

– Czyż nie możesz się domyślić? – zapytała Betsaba z pewnym rozczarowaniem.

– Nie mam pojęcia. Zresztą to obojętne, skoro zwracał na panią mniej uwagi niż inni. Gdyby się pani przyglądał więcej niż inni, wtedy miałoby to duże znaczenie.

Betsaba była zgoła przeciwnego zdania i przez pewien czas jazda odbywała się w milczeniu. Wtem niski powozik zaprzężony w konia nieposzlakowane czystej rasy wyprzedził je i pojechał dalej.

– Ależ to właśnie on! – zawołała Betsaba.

Liddy spojrzała.

– Ach ten? To farmer Boldwood, oczywiście on, to ten sam, którego pani wtedy nie mogła przyjąć.

– Aha, farmer Boldwood – powtórzyła Betsaba, patrząc na powozik. Farmer, nie odwróciwszy ani na chwilę głowy, zaparty w najdalszy punkt na drodze, przejechał tak obojętnie, jak gdyby Betsaba z całym swym urokiem była dla niego powietrzem.

– To interesujący człowiek, prawda? – zwróciła się do Liddy.

– O, tak, nawet bardzo, wszyscy to przyznają – odrzekła Liddy.

– Ciekawa jestem, dlaczego jest taki sztywny i taki jakiś daleki od wszystkiego, co się dzieje dokoła?

– Powiadają, ale to nie jest pewne, że kiedy był jeszcze młody i wesoły, spotkał go jakiś gorzki zawód. Podobno jakaś kobieta go zdradziła.

– Ludzie zawsze tak mówią, ale my dobrze wiemy, że kobieta rzadko kiedy zdradza mężczyznę, to raczej mężczyźni nas zdradzają. Przypuszczam, że on już z natury jest taki obojętny.

– Tak, tak, proszę panienki, to z pewnością nic innego, tylko taki już jest z natury.

– Ale byłoby bardziej romantycznie wiedzieć, że biedak okrutnie cierpiał! Zresztą, może tak było naprawdę.

– Tak, proszę panienki, pewnie tak było. O, tak, czuję, że tak musiało być naprawdę.

– Jesteśmy zbyt pochopni do wydawania krańcowych sądów o ludziach. Nie dziwiłabym się, gdyby prawda leżała pośrodku. Może rzeczywiście spotkało go nieszczęście, a niezależnie od tego już z natury jest taki chłodny.

– Ach, nie, panienko, nie może być i jedno, i drugie.

– To bardzo prawdopodobne.

– Tak, tak, jestem przekonana, że to bardzo prawdopodobne. Daję słowo, panienko, że tak właśnie jest.

ROZDZIAŁ XIII

Sortes Sanctorum*. *Dzień Świętego Walentego.*

Było niedzielne popołudnie, trzynastego lutego. Po obiedzie w braku innego towarzystwa Betsaba poprosiła Liddy, by do niej przysła i trochę z nią posiedziała.

* Wyroki świętych (łac.).

W porze zimowej, zanim zapalono świece i zamknięto okiennice, stary zatęchły dom wyglądał smutno i posepnie. Powietrze w nim zdawało się równie stare jak mury: każdy kącik za meblami miał inną temperaturę, gdyż w tej części domu nie palono w piecach od rana, a nowy fortepian Betsaby, gdzie indziej uważany za stary, stał jakoś krzywo na spaczonej podłodze, zanim cienie nocy nie przysłoniły jego bardziej wystających części i nie pokryły otaczającej go brzydoty. Liddy nie przestawała paplać niby mały a płytki strumyczek. Obecność jej nie budziła nowych myśli, ale też nie pozwalała umysłowi zastygnąć.

Na stole leżała duża, stara Biblia oprawna w skórę. Liddy, spojrzawszy na nią, zapytała:

– Czy panienka już kiedy wróżyła sobie z Biblii i klucza, za kogo wyjdzie za mąż?

– Nie bądź głupia, Liddy. To przecież nie ma żadnego sensu.

– A jednak jest w tym dużo prawdy.

– Nie mów głupstw, dziewczyno.

– Przy tym serce tak strasznie bije... Jedni wierzą w to, drudzy nie. Ja tam wierzę.

– Dobrze, więc spróbujmy! – rzekła Betsaba, zrywając się z krzesła z całkowitym lekceważeniem logiki, na co można sobie pozwolić tylko wobec podwładnych, i wpadając od razu w nastroj wróżbiarski. – Idź i przynieś mi klucz od drzwi frontowych.

Liddy przyniosła klucz.

– Szkoda, że to dziś niedziela – powiedziała. – Może to grzech?

– Co nie jest grzechem w dzień powszedni, to nim nie jest w niedzielę – oświadczyła przekonującym tonem Betsaba.

Otworzyły księgę. Kartki poźółkłe ze starości były na częściej czytanych wierszach zupełnie wytarte przez niewprawnych czytelników z minionych lat, którzy wiodąc wskazującym palcem po liniijkach, pomagali w ten sposób oczom. Betsaba odszukała spe-

cialny werseł z Księgi Ruth i spojrzenie jej padło na wzniosie słowa. Słowa te wzruszyły ją i zawstydziły. Mądrość myśli spotkała się z głupotą czynu. Głupota zacerwieniła się, ale zamiaru nie poniechała i położyła klucz na księdze. Rdzawa plama, utworzona bezpośrednio nad werselem na skutek dawnego przyciskania żelaznym przedmiotem, świadczyła o tym, że stara księga nie po raz pierwszy służyła do takiego celu.

– A teraz siedź spokojnie i nie odzywaj się – rzekła Betsaba.

Powtórzyła werseł, zakręciła księgą i zawstydzona zacerwieniła się.

– O kogo panienka pytała? – zagadnęła z ciekawością Liddy.

– Tego ci nie powiem.

– Czy panienka zauważyła zachowanie pana Boldwooda dziś rano w kościele? – mówiła dalej Liddy, zdradzając, że bieg swych myśli skierowała na inne tory.

– Nie, nie zauważyłam – odrzekła Betsaba z pogodną obojętnością.

– Przecież jego ławka znajduje się akurat naprzeciw ławki panienki.

– Wiem.

– I panienka nie widziała, jak on się zachował?

– Zapewniam cię, że nie widziałam.

Liddy nadąsała się i zacięła wargi. Odruch ten był nieoczekiwany i pomieszał Betsabie szyki.

– Cóż on takiego zrobił? – zapytała, przezwyciężając niechęć.

– Podczas całego nabożeństwa ani razu nie odwrócił głowy, żeby na panienkę popatrzeć.

– A po co miałby na mnie patrzeć? – spytała jej pani cokolwiek rozdrażniona. – Nie prosiłam go o to.

– No, nie, ale wszyscy inni zwracali na panienkę uwagę, więc było dziwne, że tylko on jeden pani nie widział. To podobne do niego. Taki pan, i bogaty, więc nic go nie obchodzi.

Betsaba umilkła, nie dlatego, że nie miała nic do powiedzenia, lecz chciała w ten sposób okazać, że zdanie jej w tej sprawie jest zbyt skomplikowane, by Liddy mogła je zrozumieć.

– Ach, mój Boże! – zawołała po chwili. – Byłabym zupełnie zapomniała, że kupiłam walentynkę, żeby ją komuś posłać, bo przecież dziś mamy świętego Walentego.

– A komu ją panienka pošle? – zapytała Liddy. – Może farmerowi Boldwoodowi?

Wśród wszystkich niewłaściwych nazwisk to jedno w tej chwili wydało się Betsabie bardziej zuchwałe niż właściwe.

– Ależ nie! Poślę ją małemu Teddy’emu Cogganowi. Obiecałam dać mu jakiś podarunek, będzie miał chłopak przyjemną niespodziankę. Liddy, przynieś mi mój sekretarzyk, to zaraz napiszę liścik.

Wyjęła z sekretarzyka walentynkę; był to wspaniale ozdobiony wytłaczanym obrazkiem spory arkusz papieru, który poprzedniego dnia targowego kupiła w najlepszym składzie materiałów piśmiennych w Casterbridge. W środku arkusza było owalne, puste miejsce przeznaczone do wypisania na nim czułych słów, lepiej zastosowanych do okoliczności niż jakieś drukowane banały.

– Tu jest miejsce do napisania – rzekła Betsaba. – Co mam mu napisać?

– Coś w tym rodzaju – zaproponowała bez namysłu Liddy:

*Miłe są fiołki i róże, i bzy,
Lecz dla mnie najmiłszy
Będziesz zawsze Ty!*

– Tak, tak, doskonale! To akurat pasuje do pyzatej buzi tego malca! – zawołała Betsaba. Wypisała powyższe słowa drobnym,

lecz czytelnym pismem, włożyła arkusz do koperty i zamoczyła pióro, żeby wypisać adres.

– To by była wspaniała zabawa, gdyby tak to posłać temu starymu głupcowi Boldwoodowi. Jak by się też dziwił, co? – rzekła nieposkromiona Liddy, podnosząc brwi i pozwalając sobie na ten wybuch wesołości pomieszanej z lękiem na myśl o wartości moralnej i społecznym znaczeniu tego człowieka.

Betsaba umilkła, chcąc rozpatrzeć ten pomysł ze wszystkich stron. Od pewnego czasu Boldwood stał się dla niej niepokojącą zmurą, rodzajem biblijnego Daniela, który uparcie klękał z twarzą zwróconą na wschód. Było wszak oczywiste, że zdrowy rozsądek nakazywał, by Boldwood przyłączył się do ogółu i rzucił jej zdawkowe spojrzenie zachwyty, co go do niczego nie obowiązywało. Odszczepieństwo to nie gniewało jej poważnie, drażniło ją jednak to, że najbardziej szanowany i wartościowy człowiek w całej parafii nie poświęcał jej najmniejszej uwagi i że taka dziewczyna jak Liddy ośmieliła się o tym mówić. Toteż zrazu pomysł dziewczyny wydał się jej raczej przykry niż dowcipny.

– Nie, tego nie zrobię. Nie widziałby w tym nic zabawnego.

– Ale zadręczyłby się tym na śmierć! – obstawała przy swoim Liddy.

– Co prawda, nie zależy mi specjalnie na tym, by to posłać Teddy’emu. On czasem bywa nieznośny.

– O, tak, nawet często.

– Więc zróbmy tak jak mężczyźni, zagrajmy w orla i reszkę. Orzeł to Boldwood, reszka – Teddy. Nie, nie, to nie wypada w niedzielę, byłoby to kuszenie diabła.

– Więc niech panienka spróbuje zrobić to samo z Biblią, to już nie będzie grzech.

– Więc dobrze, rzucę w powietrze Biblię, jeżeli upadnie otwarta, to Boldwood, zamknięta – Teddy. Ale nie, nie, jest bardziej możliwe, że upadnie otwarta. A więc otwarta – Teddy, zamknięta – Boldwood.

Biblia zatrzepotała w powietrzu i upadła zamknięta. Betsaba lekko ziewnęła i bez namysłu, z całym spokojem zaadresowała walentynkę do Boldwooda.

– A teraz, Liddy, zapal świecę. Jaką pieczęć wybierzemy? Na tej jest głowa jednorożca, nic szczególnego. A to co? Dwa gołąbki? Nie, to musi być coś niezwykłego, prawda, Liddy? Tu jest pieczęć z jakimś zabawnym napisem, ale nie mogę go odczytać. Spróbujemy ją odcisnąć. Jeżeli się nie nada, to weźmiemy inną.

Przyłożyła dokładnie dużą czerwoną pieczęć i gdy wosk był jeszcze gorący, przysunęła ją bliżej oczu, by lepiej odczytać.

– Wspaniale! – zawołała z dziecinną pustotą, rzucając list.
– To rozśmieszycie nawet uroczystego proboszcza i jego ministranta.

Liddy spojrzała na słowa wyciśnięte na pieczęci i przeczytała:

Ożeń się ze mną!

Tego samego wieczora list został wysłany; w nocy przyłożono na nim stempel urzędu pocztowego w Casterbridge, a nazajutrz rankiem powrócił do Weatherbury.

Tak oto bezmyślnie i bez zastanowienia dokonano owego czynu. Betsaba dobrze znała miłość z opowiadań. Osobiście nie miała o niej żadnego pojęcia.

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 022 331 91 49
faks 22 643 70 28
e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

Dział Handlowy
tel. 22 331 91 55, tel./faks 022 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 022 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl www.nk.com.pl
www.wnk.com.pl

*Książkę wydrukowano na papierze
Ecco-Book Cream 60 g/m² wol. 2,0.*

Korekta *Ewa Mościcka, Małgorzata Ruszkowska,
Krystyna Lesińska, Roma Sachnowska*
Redakcja techniczna, opracowanie DTP *Joanna Piotrowska*

ISBN 978-83-10-12959-8

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2015 r.
Wydanie pierwsze
Druk: Zakład Graficzny COLONEL, Kraków